

FUNDACJA GENERAL ELŻBIETY ZAWACKIEJ  
Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej  
oraz Wojskowej Służby Polek  
87-100 Toruń, ul. Podmurna 93, tel. 0048 56 65 22 186  
e-mail: fapak@wp.pl; www.zawacka.pl

poprzedni nr M: 989/1723

102  
210

opm. 102  
210



f. Miłoch

83-425 Dziemiąca  
żona Marta Miłoch  
Radni  
83-425 Dziemiąca  
Był z arad Szwachowski  
606 963 073

Tczew  
"J.W.Gr.P." - AK  
++ Miłoch Józef "Szyński"  
ps. "Borowiec" "Utopiony"  
M-989/1723 Pom.

SPIS ZAWARTOŚCI  
TECZKI

Miloch Józef  
J: M-989/1723 Pom.  
Teczka "Gryf Pom." - A2

I./1. Relacja k. 17 s. 1-17

I./2. Dokumenty (sensu stricto) dotyczące relatora —

I./3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące relatora —

II. Materiały uzupełniające relację —

III./1. Materiały dotyczące rodziny relatora —

III./2. Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III./3. Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945) —

III./4. Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945 —

III./5. Inne ... —

IV. Korespondencja

1.) z J. Milochem i jego rodziną k. 4 s. 1-4

2.) z Franc. Kozłowskiem k. 1 s. 1-2

V. Nazwiskowe karty informacyjne k. 11

VI. Fotografie brak

1/1. Relacja własna - Józef Miloch:

1. Relacja J. Milocha z 20.01.1999

mpis, kserokop.

k. 17 s. 1-17





dn. 20.01.1999r.

## Relacja

Józefa Milocha urodzonego w dniu 10 marca 1917 r. w Kaliszu były powiat Kościerzyna, syna Wiktora i Salomei z domu Szalewska.

Szkołę podstawową ukończyłem w Kaliszu, następnie pracowałem przy rodzicach na gospodarstwie rolno-leśnym o powierzchni 84 ha (w tym połowa powierzchni leśnej). Moja praca sprowadzała się przede wszystkim do ochrony lasu, przez który przebiega tor kolejowy, co wiąże się z zagrożeniem pożarowym; poza tym istniała konieczność ochrony leśnych upraw przed kradzieżami, kłusownictwem itd.

Pamiętam, jak podczas wielkiej gradacji strzygoni chojnówki paliliśmy wieczorami i nocą ogniska, do których zlatywały się owady i płonęły, co znacznie zmniejszało ich liczbę. Podczas tej gradacji strzygonie zniszczyły ponad 2 ha drzewostanu II kl. wiek w dragowinie.

W roku 1936 pracowałem jako praktykant leśny w leśnictwie Głuchy Bór. Należałem wówczas do Związku Strzeleckiego, a w roku 1937 odbyłem przeszkolenie P.W. II stopnia w Solcu Kujawskim. Był to tak zwany kurs rekrucki, po którym szkoliłem naszych członków w strzelaniu z broni małokalibrowej, musztrze i sprawności ogólnosportowej. Po wybuchu II wojny światowej wraz z kolegą zaczęliśmy gromadzić broń różnego kalibru: od chłopskich dubeltówek po broń krótką i granaty. W roku 1940 z kolegą Piotrem Kulasem ps. "Wilga" zbudowaliśmy bunkier w leśnictwie Borsztal, gdzie założyliśmy magazyn broni. W 1941 roku nawiązałem kontakt z ruchem podziemnym Tajnej Organizacji Wojskowej "Gryf Pomorski", a w 1942 roku ja i cała moja rodzina została zaprzysiężona w T.O.W. "Gryf Pomorski" przez majora Józefa Gierszewskiego ps. "Ryś" w obecności kapitana Jana Szalewskiego ps. "Sobol". Wówczas to przyjąłem pseudonim "Borowiec" i pełniłem funkcję łącznika-zwiadowcy. W domu moich rodziców mieścił się punkt zbiorczy, gdzie odbywały się narady konspiracyjne. Od tego też czasu rozpocząłem działalność z bronią w rękę. Posługując się fałszywymi dowodami tożsamości jeździłem do Berlina i Bytowa, skąd przywoziłem broń, amunicję,

odzież, rowery, lekarstwa i inne przedmioty sanitarne. W roku 1943 zmuszony byłem pójść do leśnego bunkra na stałe - w rejonie leśnictwa Dywan. Brałem tam udział w różnych akcjach zbrojnych przeciwko Niemcom, na przykład w zorganizowanej przez leśniczego Narlocha akcji w nadleśnictwie Leśna Huta, gdzie zostałem lekko ranny. Po tej akcji dotarłem do bunkra w leśnictwie Borsztal, gdzie pomocy udzielił mi Zawadzki z Kościerzyny - nasz zaprzysiężony lekarz. Brałem również udział w potyczce pod Podrąbioną Przytarnią Turzonka pod Borsztalem.

Od marca roku 1942 z rozkazu generała Sikorskiego oddział nasz, a z nim i ja, został włączony do Armii Krajowej.

2 lutego 1944 roku nasz bunkier w rejonie leśnictwa Głuchy Bór został zlokalizowany przez Niemców. Przyczynił się do tego Jan Repiński z Dębiny - konfident Gestapo, który zdradził faszystom miejsce pobytu - moje i kolegi Władysława Eichmana. Około 4 rano zostaliśmy otoczeni w bunkrze przez jacht SS. SS-mani otworzyli pokrywą ziemianki i rozkazali, abysmy się dobrowolnie poddali, bo i tak nie zdołamy się obronić. Dali nam 15 minut do namysłu i zapowiedzieli, że jeśli się nie poddamy, to będą nas bombardować granatami. Ja powiedziałem, że wole zginąć w tym bunkrze niż się poddać, a koledze poradziłem:

- Ty rób jak chcesz.

Władek odpowiedział, że też się nie podda, wobec czego przygotowaliśmy się na śmierć i czekaliśmy na to, co stanie się dalej.

Po 15 minutach Niemcy zaczęli wrzucać nam całe pęki granatów do bunkra, który miał wielkość jakieś 3 na 5 metrów. Ja leżałem na dolnym łóżku, kolega Eichman na górnym. Po pierwszym wybuchu obaj zostaliśmy poranieni. Wtedy Władek zeskokczył ze swojego łóżka i wszedł pod moje, bo odłamki granatów w większości leciały w górę. Zaczęliśmy strzelać, a Niemcy nasilili bombardowanie. Potem ucichło. Po jakimś czasie spuścili na linach do bunkra dwóch SS-manów z pistoletami i latarkami w rękach. Wewnątrz było tyle dymu, że Niemcy odkrzyknęli, że nic nie widzą. Zaczęliśmy do nich strzelać i SS-mani zostali pospiesznie wyciągnięci z bunkra. Wtedy zaczęli wrzucać do



bunkra kolejne granaty, które upadały nieraz tak blisko naszego schronienia, że słyszałem ich syczenie. Wkrótce w środku było tyle dymu, że zaczęliśmy się dusić. Broniliśmy się do ostatniego naboju. Jak się później okazało, jeden z SS-manów został zabity, a drugi ranny. Nad wieczorem, kiedy nie mieliśmy już czym strzelać, zakopaliśmy broń w bunkrze i dobrowolnie poddaliśmy się Niemcom, którzy dziwili się, że jeszcze żyjemy. Nie mogli zrozumieć, że choć wrzucili do ziemianki tyle granatów, my nie zostaliśmy rozerwani na strzępy, a jesteśmy tylko poranieni.

Związali nam ręce z tyłu i zaczęli nas bić i kopać wyzywając nas przy tym od przeklętych psów. potem poszli zameldować swemu dowódcy, że nas mają. Wtedy ich dowódca - gruby blondyn w stopniu sztabartenfirera - przyszedł do nas i z niedowierzaniem kręcił głową. Powiedział, żeby nas rozwiązano - że nie jesteśmy winni, że ktoś nas namówił - takich młodych chłopaków. Pomyślałem sobie wtedy, że tacy grubi ludzie to mają dobre serce i powiedziałem, że obaj jesteśmy ranni. Sztabartenfirer zawołał sanitariusza, rozebrali nas do pasa, położyli na kece i zabandażowali. Potem załadowali nas na bryczkę - bez kajdanów: sztabartenfirer w środku, my z boku z tyłu, a kuczer na przedzie. Tak dojechaliśmy do leśniczówki Głuchy Bór, gdzie nas wsadzili do piwnicy. Kiedy się ściemniło, załadowali nas do samochodu ciężarowego z przyczepą, w której byli SS-mani i psy. Byliśmy bez kajdanów. Posadzili nas przy kabinie z lewej strony, w rogu. Zobaczyliśmy, że w tym miejscu plandeka jest oderwana, tak że można było wyskoczyć w biegu na zewnątrz. Problem był tylko w tym, że na bocznych ławkach siedzieli SS-mani z psami.

Dojechaliśmy do Radunia, gdzie zrobiono bardzo długi postój. Sztabartenfirer poszedł do mojej siostry Marii, która mieszkała w Raduniu, i powiedział, że mnie mają i czy chce się ze mną zobaczyć. Siostra z płaczem odparła, że nie chce się ze mną widzieć. Sztabartenfirer obiecywał siostrze, że nic się nie stanie, bo on za to odpowiada.

Tymczasem ja przez cały czas po cichu rozmawiałem z moim kolegą o możliwości ucieczki pod oderwaną plandeką.

- Uda się, to się uda, a jak nie, to i tak nas zabiją - mówiliśmy sobie.

Jeden z SS-manów zobaczył, że wciąż rozmawiam i mruknął: "ten stary stale mu coś opowiada". Potem wziął mnie za kołnierz i posadził z tyłu, w przeciwnym rogu. Kiedy zostałem odizolowany od miejsca z oderwaną plandeką, straciłem nadzieję na powodzenie ucieczki.

Po jakichś dwóch godzinach cały samochodowy orszak ruszył w dalszą drogę. Kiedy za Raduniem jechaliśmy z góry w stronę Lamka, mój kolega wysliznął się dziura i wyskoczył w biegu. SS-mani zaczęli walić w kabinę krzyząc "Halt! Halt!", ale kierowca albo nie słyszał, albo nie chciał słyszeć, tak że dojechaliśmy aż do Lamka. Dopiero wtedy SS-mani zeskokczyli z psami i zaczęli strzelać, ale mój kolega był już tak daleko, tak że nie mogli go dostać.

Zemścili się na mnie. Zaczęli mnie bić i kopać mówiąc: "To ten stary pies go namówił!" Potem związali mnie powrozami i zawieźli do Dużych Chełmów za Brusami, gdzie znajdował się główny sztab SS jacht ibungplatz. Tam wsadzili mnie do małego pokoju, gdzie stało łóżko. Na ręce i nogi założyli mi kajdany i przywiązali mnie do łóżka. Drzwi były otwarte - siedział w nich SS-man z automatem. Przez dzień i noc jeden z nich mnie pilnował.

Jeden z SS-manów przyszedł rano i mocno mnie pobił. Po godzinie przyszedł do mnie sztandartenfirer i zapytał, dlaczego nie próbowałem uciekać razem z kolegą. Odpowiedziałem, że nie czuję się winny i dlatego nie próbowałem uciekać. Spytał mnie następnie - jak się czuję? Powiedziałem, że boli mnie głowa, bo jeden z żołnierzy mnie bił po głowie i brzuchu. Sztandartenfirer poszedł do "szpisa" i wypytał go, kto mnie pobił. Wrócił za chwilę mówiąc, że "więcej u mnie pana nikt bić nie będzie". Dowiedziałem się później od pilnującego mnie Niemca, że ten, co mnie bił, był kolegą tego SS-mana, którego zabiliśmy w burkrze.

Podczas pobytu w Dużych Chełmach - gdzie siedziałem od poniedziałku do soboty - sztandartenfirer obchodził się ze mną bardzo dobrze - myślałem sobie, że to dlatego, że chce się ode



mnie czegoś dowiedzieć o naszej organizacji. W sobotę rano sztabartenfirer przyszedł i spytał, dlaczego nie chcę mu nic powiedzieć. Odparłem wtedy, że jest nas dużo, ale na dłuższy dystans bić się nie możemy, bo mamy za mało amunicji.

Powiedział mi wtedy, że tego dnia przyjadą po mnie z Gestapo z Gdańska i że pewnie mnie zabiją - zależy jak potoczy się sprawa.

✓ Dużo później - kiedy po wojnie wróciłem do domu - spotkałem kolegę Mikołaja Kaliske, który był woźnym w siedzibie SS w *Dziemianach*. Opowiedział mi, że kiedy po naszym pojmaniu sztabartenfirer miał odprawę ze swymi podwładnymi, bardzo nas chwalał. Mówił: "możecie brać przykład z tych dwóch, cośmy ich wczoraj złapali. Nie mają ojczyzny i ktoś ich namówił, ale gdybym ja miał takich żołnierzy, to przez całą Rosję bym przeszedł."

✓ Ale wracając do mojej historii... Wieczorem rzeczywiście przyjechało Gestapo z Gdańska. Był wśród nich gestapowiec *nazwiskiem* Halikowski z Wdzydz - rybak, który strzelał do naszych partyzantów. Mieli też ze sobą konfidenta Repińskiego, który nas zdradził. Ubrali go w kajdanki i trzymali ze mną. Repiński powiedział mi, żebym mówił prawdę, bo Eichmanowa wszystko gestapowcom powiedziała. Może wtedy nas puszcza... Ryknąłem na niego:

- Za co ciebie tu mają upozorowane?!

Potem splunąłem mu w oczy i wyzwalałem go od zdrajców i świń. Wtedy jeden z gestapowców uderzył mnie w twarz i powiedział, że jak przyjadę do Gdańska, to będę gadał jak na gramofonie.

Do Gdańska przywieziono mnie na ulicę Neugarten 27. Od razu wzięli mnie do góry na przesłuchanie, gdzie czekało na mnie dwóch oprawców z bykowcami w dłoniach. Musiałem sięgnąć spodnie i na *goty* tyłek bili mnie bykowcami aż do utraty przytomności. Przesłuchania odprowadzali mnie więźniowie z celi nr 8, gdzie mnie przetrzymywano. Podczas następnych przesłuchań, kiedy mnie bito, udawałem, że tracę przytomność, dzięki czemu unikałem dalszego bicia. Najwyżej wylewano mi wiadro wody na głowę w celu otrzeźwienia. Później okazało się, że Gestapo ma doskonałe



informacje na temat naszej organizacji. Pokazywano mi zdjęcia wszystkich poszukiwanych dowódców T.O.W. Miałem wówczas tylko powiedzieć, że ich znam - to by im wystarczyło. To, co działo się w siedzibie gdańskiego Gestapo potwierdzić może mój towarzysz niedeoli z celi nr 6 - Stanisław Skwierawski (zamieszkały w Gdańsku - Suchomino, ul. Karpińskiego 14/27).

Na Gestapo siedziałem do 28 kwietnia 1944 r. Trzymali mnie tam tak długo po to, by zagoiły się rany po pobiciu podczas przesłuchań. Następnie przewieziono mnie do starych koszar w

mnie nie bito - był to wojskowy Sąd Wojenny. 7 lipca w kajdanach przetransportowano mnie do Berlina, ale z powodu nalotów Najwyższy Sąd Wojenny (tzw. Reichskriegsgericht) przeniesiono do Torgau nad Elbą. Był to sąd międzynarodowy i w więzieniu w Torgau siedzieli tylko oskarżeni o szpiegostwo, przynależność do organizacji podziemnych i sabotaż. W Torgau siedzieli niemieccy generałowie, marszałkowie oraz wielu innych oficerów - ogółem ponad 2 kompanie. Sporo było również Anglików, Amerykanów oraz Francuzów - zarówno wyżsi oficerowie, jak i szeregowcy. Ponadto księża biskupi, badacze Pisma Świętego oraz pojmanci obywatele tych państw, które podbił Hitler. W sumie przebywało tam ok. bataliona ludzi. Twierdza Torgau oblana była wodą i otoczona murem - mówiono, że stamtąd jeszcze nikt się nie wydostał. Pieczę nad więźniami sprawował Wehrmacht.

Zostałem przydzielony do Francuzów, tak, abym nie mógł się z nimi porozumieć. Ale i Francuzi, i ja - znaliśmy niemiecki, tak że rozmawialiśmy dosyć swobodnie. Trzeciego dnia przyjechała do więzienia tak zwana mina-samochód - okratowany wóz, którym przewieziono mnie do sądu, gdzie ponownie zostałem przesłuchany. Odczytano mi moje zarzuty: przynależność do "bandy partyzanckiej" i złapanie mnie z bronią w ręku. Miałem podpisać. Wówczas powiedziałem, że zarzuty opisane przez gdańskie Gestapo są nieprawdziwe. "Gdybym miał broń w ręku podczas schwytania mnie - tłumaczyłem - nie stawałbym już przed żadnym sądem. Po prostu by mnie zastrzelono." Powiedziano mi wówczas, abym opowiedział, jak to bez broni wyszedłem z bunkra i

- 4 -

↓

dobrowolnie się poddałem. Kiedy zacząłem mówić, pokazano mi mój list na Niemców, który napisałem do rodziców.

- A kto to pisał? - zapytali.

- Szedłem do mojego wujka w gościnę - zaczynam zmyślać. - Było to pod wieczór, przez las. Zobaczyłem trzech mężczyzn, którzy podeszli do mnie i zapytali, dokąd idę. Potem jeden wyjął broń i powiedział, że pójdę z nimi. A jak nie - to kula w łeb. Zacząłem płakać - opowiadam dalej - prosić, żeby mnie wypuścili, bo Niemcy zabijają moich rodziców. Wtedy jeden z partyzantów wziął moją kurtkę i wszystkie dokumenty, poszedł nad jezioro Słone, a po *krótkim czasie wrócił i poklepał mnie pocieszająco* po ramieniu. Powiedział mi, że napisał taki list do rodziców, że im się nic nie stanie.

- Wszyscy mieli broń? - zapytali mnie Niemcy.

- Tak, wszyscy - odpowiedziałem.

- I gdzie żeście poszli?

- Zaprowadzili mnie do bunkra w lesie i oznajmili, że moim zadaniem będzie gotowanie dla partyzantów. Jeżeli się oddalę od bunkra na więcej niż 10 metrów - to kula w łeb. - Kłamałem bez zająknięcia. - Poza tym komendant miał 12-letniego synka, którym *musiałem się opiekować*.

Niemcy zapytali mnie, dlaczego nie próbowałem ucieczki.

- Komendant mi powiedział - wyjaśniłem - że jeśli ucieknę z lasu, to zastrzeli mnie policja albo Niemcy. Nie miałem wyjścia - musiałem tam zostać. Partyzanci mi nie ufali. Wszystkie swoje plany omawiali na zewnątrz, żebym ich nie słyszał. Żadnej broni mi do rąk nie dawali...

List, o którym mówili Niemcy, napisałem ja sam. Był mniej więcej tej treści; że nie mogę służyć katom, którzy zabijają moich rodaków i mordują bez sadu. Wyście mnie namawiali do tego przekłętą "angedojczu" itd. Dla Niemców była to obraza stanu, za co groziła kara śmierci. Kiedy pisałem ten list nie pomyślałem o tym, że kiedyś stanie się on dowodem przeciwko mnie i że moje pismo badać będzie grafolog. Niemcy kazali mi przepisywać ten list i musiałem specjalnie zmieniać charakter pisma, żeby mi nie udowodnili kłamstwa. Pochylałem pismo w



odwrotną stronę, robiłem błędy ortograficzne itd. Po paru miesiącach wołali mnie do sądu, abym ponownie przepisywał list w całości. Chcieli, abym pochylił pismo w tę samą stronę, co w liście, ale tłumaczyłem, że tak nauczyłem się w szkole i inaczej pisać nie potrafię. Wtedy major, który mnie przesłuchiwał, napisał "Miloch" pochylone w jedną, a później w drugą stronę.

- Jak kto chce, to potrafi - powiedział do mnie.

- Gdybym ja miał takie wykształcenie jak pan major, to też bym potrafił - odpowiedziałem mu.

*abym przepisał tak jak potrafię, ale za*  
to trzy razy cały list. Pomyślałem sobie, że tu chodzi o moje życie, a nie jakieś wasze "widzi mi się". Ten, który mi dyktował, za każdym razem zmieniał zakończenie chcąc się upewnić, czy się nie upomnę o to właściwe. Ale ja za każdym razem pisałem dokładnie tak, jak on mi dyktował. Potem powiedział mi, że ja potrafię pisać z pochyleniem w odwrotną stronę, ale nie chcę. Ale kiedy przepisałem list trzy razy - więcej już mnie nie wzywano na przesłuchanie. Pytali mnie jeszcze, dlaczego w Gdańsku zeznawałem inaczej, a tu mówię co *innego. Odpartem im, żeby zobaczyli, jak przesłuchuje* gdańskie Gestapo, to zrozumieją, dlaczego musiałem kłamać. Jeśli teraz nie mówię prawdy - to proszę mnie zastrzelić.

Jak już wspomniałem, w Torgau siedziałem z Francuzami, ale byli też Anglicy, Niemcy, Austriacy, Węgrzy i Polacy. Na śmierć pożegnałem się z dziewięciu kolegami... To, że przeżyłem, uznać można chyba tylko za cud.

Siedziałem w Torgau aż do wyzwolenia przez Amerykanów 28 IV 1945 r. Kiedy wyszliśmy na wolność, wszyscy zastanawiali się jak wrócić do domu; mosty były pozrywane, koleje nie kursowały... Po tygodniu wojska amerykańskie się wycofały o 30 kilometrów - za rzekę Mildę, a do Torgau wkroczyła Armia Radziecka. Wywieźli nas do rzeki Łaby i tam nas zostawili mówiąc: "Iditje damoju".

Most na Łabie był zawalony, więc cały nasz orszak - trzymając się za ręce - przechodził po mostowych, żelaznych płytach na drugą stronę rzeki. Pieszko dotarliśmy do Wittenbergii, gdzie znajdował się rosyjski sztab, w którym się

- 9 -

zarejestrowaliśmy. Potem maszerowaliśmy dalej wspólnie z obozowiczami z Buchenwaldu. Kobiety i mężczyźni - marsz przez całe dwa dni. Szosa pełna była ludzi wracających do ojczyzny. Bardzo bolały mnie nogi, tak że w końcu nie mogłem już iść. Uznając, że nie dam rady dojść pieszo do rodzinnych stron, namówiłem kolegę z Częstochowy, abyśmy dalej nie szli pieszo. Było to pod wieczór, kiedy usiedliśmy w rowie przy szosie i czekaliśmy, aż ktoś będzie przejeżdżał. Mój kolega wkrótce zrezygnował z tego czekania i ruszył pieszo za kolumną obozowiczów. Po godzinie zobaczyłem drogę z kolumną rosyjskiego wojska - około 20 furmanek. Zabrałem się do ostatniej i tak dojechałem do miasta Mannheim, gdzie Rosjanie zatrzymali się i powiedzieli mi, że jada w boczną stronę. Po mieście chodziłem chyba zupełnie sam. Ulice puste, w opuszczonych domach z kranów leła się woda... W końcu spotkałem pewnego Niemca, którego zapytałem gdzie jest dworzec kolejowy. Pokazał mi, ale powiedział też, że żadne pociągi nie kursują. Poszedłem dalej - za tory - gdzie była szosa. Na końcu miasta zobaczyłem rosyjskie samochody. Podszedłem do nich i pytam, dokąd jada. "Damoju" - *odpowiedzieli* mi. Poszedłem do komendanta i zapytałem, czy i mnie by nie zabrali "damoju". Komendant się zgodził.

Była to kolumna przeszło 20 samochodów ZIS-5. Wiozły resztki uzbrojenia - skrzynie z pociskami artyleryjskimi. Był już wieczór, tak że daleko nie ujechaliśmy - najwyżej jakieś 20 km. Nocowaliśmy w małej wiosce, a rano ruszyliśmy dalej. "Starszyna" pytał mnie czy mam "pokurit". Tak się złożyło, że miałem ze sobą paczkę tytoniu, ale nie dałem mu całej, bo wiedziałem, że zaraz i tak przyjdzie po więcej. Rosjanie w zamian nakarmili mnie i nawet dali wódki; i choć nie chciałem - *musiałem* wypić. Mówili do mnie "choroszyj Palak", no i... *zaprowadzili* mnie aż do samej Polski, do miejscowości Pepin. Tam się pożegnaliśmy, a ja - na stacji kolejowej, z której odjeżdżały pociągi do Poznania - dałem mojemu "starszynie" resztę tytoniu, jaki mi jeszcze pozostał. Do Poznania dotarłem nocą pociągiem towarowym o otwartych wagonach. Rano - już w Poznaniu - zarejestrowałem się w Czerwonym Krzyżu, gdzie otrzymałem



bezpłatny bilet do Kalisza. Po drodze - w Bydgoszczy - dali nam w Czerwonym Krzyżu obiad, a w dwie godziny później pojechałem do Chojnic, a stamtąd już do Kalisza. W rodzinnym domu nikt się nie spodziewał zobaczyć mnie żywego. Żaden z moich kolegów nie chciał uwierzyć, że to wszystko przeżyłem. Przyjeżdżali mnie oglądać, aby się przekonać, że to wszystko prawda. Byłem w domu na Zielone Świąta: w domu w Kaliszu matka, siostra i dwie siostry. Matka opowiedziała mi wtedy, że cała nasza rodzina została

*wywieziono do Potulic*

zamordowany mój ojciec. Reszta rodziny - brat i siostra - powrócili. Brat w lipcu, siostra w grudniu - byli wywiezieni w głąb Niemiec. Po podróży jakiś czas chorowałem. Dom nasz został całkowicie splądrowany, tak że nie było z czego żyć. Zacząłem szukać jakiejś pracy. Moich kolegów z AK zamknęła "bezpieka". Byli to: mjr Jan Szalewski, kpt Alojzy Bruski z Piechowic, Ambroży Masłowski z Radunia.

Z PUR-u wystarałem się jakiś dowód i kartę repatriacyjną i pojechałem na "ziemie odzyskane", do mojego wujka, który - jako nauczyciel - objął tam szkołę polonijską. Tak się do grudnia odbywałem, martwiąc się że i po mnie przyjdzie UB. Z domu napisali do mnie, że UB o mnie pytało, ale na szczęście matka powiedziała, że nie wie, dokąd się udałem. W końcu grudnia pojechałem do Dyrekcji Lasów Państwowych w Szczecinku starać się, żeby mnie przyjęli do pracy do Nadleśnictwa Stary Kraków. Dyrektor lasów powiedział mi, że może mnie przyjąć - jako hajowego. Tak więc od 1 stycznia 1946 r. miałem pisemny przydział do Zarządu Lasów Państwowych do Starego Krakowa. Na szczęście była wolna jeszcze jedna leśniczówka - w leśnictwie Chudaczewo - gdzie pojechał ze mną mój nadleśniczy. Byli tam jeszcze niemieccy uciekinierzy z Prus Wschodnich - stary leśniczy i cała jego rodzina. Nadleśniczy przed odjazdem powiedział mi, żeby nie robić im krzywdy - sądził chyba, że może będę chciał się mścić za wojenne przeżycia.

Podczas rozmowy ze starym leśniczym niemieckim okazało się, że mamy wspólnego znajomego z Kalisza - Józefa Kulasa - mojego sąsiada. Przed I wojną światową ów Niemiec - Paul Prempfer - był

leśniczym w leśnictwie Trawice. Kiedy byłem na Wielkanoc w domu i odwiedziłem Kulasów, opowiedziałem mu o spotkanym Niemcu. Stary Józef Kulas wspominał nawet, jak Premper dla psoty zawsze mu jego najlepsze rogacze "sprzątał".

Stary Premper pomagał mi w mojej pracy, razem z robotnikiem robił odbiórki starych poniemieckich zrębów. Dużo się też od niego nauczyłem - podczas rozmów mieliśmy tylko jeden temat - o lesie. Po roku Paul Premper zmarł na zawał serca, a jego rodzina pojechała za Odrę.

Jeszcze trzeba, że kiedy wróciłem do domu dowiedziałem się, że mój kolega, który uciekł w czasie transportu za Raduniem koło Łanka - Stanisław Eichman oraz jego brat Władysław - zostali zabici przez gestapowców. Władysława znaleziono kilka dni po moim przyjeździe koło leśniczówki Przeremska Huta. Znalazł go leśniczy Tylewicz; tak że byłem jeszcze na pogrzebie Władysława. Oprócz niego zginął wspomniany już jego brat Stanisław, ich ojciec oraz mała córeczka.

Po wojnie kontynuowaliśmy działalność w ramach struktur Armii Krajowej. Od komendanta powiatu Sławno Antoniego Sikorskiego otrzymaliśmy poniemieckie karabiny Mauzer wraz z zaświadczeniami z komendy powiatowej MO. W nadleśnictwie Stary Braków znajdował się główny magazyn broni różnego kalibru, którym opiekowali się nadleśniczy Feliks Rytter i leśniczy Jan Struk. Ja miałem karabin służbowy, ale poza tym znaleźny 32-strzałowy MP (było to w kwietniu 1946 r.).

Niestety któregoś dnia parobek nadleśniczego dowiedział się o naszym magazynie broni i od kolegi do kolegi wieść rozniosła się po całej okolicy. Wkrótce dotarła również do wyczulonych uszu funkcjonariuszy UB. Kiedy na początku kwietnia trafiłem do nadleśnictwa, wyszła do mnie pani nadleśniczowa i powiedziała mi, że "bezpieka zabrała jej męża i że wszystko znaleźli". Pobiegłem do leśniczówki - na podwórku stał już samochód UB. W tym czasie przebywało u mnie kilku kolegów. Kiedy zauważyli samochód UB, uciekli do lasu. Trzech z nich miało karabiny i podczas ucieczki jeden nie zastanawiając się oddał strzał do UB-owców. Koledzy chcieli u mnie pod wieczór zapolować, a przez



swoją bezmyślność wpakowali mnie w niezłe tarapaty. UB-owcy oczywiście zaczęli mnie podejrzewać o współpracę z organizacją partyzancką. Zabrali mi broń i odstawili do UB Sławno. Przetrzymanywano mnie tam w piwnicy razem z SS-manami, gestapowcami i innymi Niemcami należącymi do NSDAP. Oprócz nich było też kilka osób oskarżonych o działania przeciwko władzy ludowej. To, co tam się działo, jest trudne do opisania. Nas - Polaków - nie bito, ale za to na Niemcach UB-owcy mścili się zawsze, kiedy pijani wracali z kanjpy. Zawsze po północy

grzbi

Niemcy krzyczeli z bólu, wołali o pomoc do Boga, i nawet my - Polacy, którzy doświadczyliśmy niemieckiego bata - nie mogliśmy na to patrzeć. Potem, kiedy zagoiły się trochę rany Niemców - wywieziono ich do więzienia w Potulicach, a stamtąd - za Odrę.

Na UB siedzieliśmy ponad 4 miesiące - w celi ok. 4 m<sup>2</sup>, tak że położyć się było trudno. Jednego dnia nadleśniczy, który siedział ze mną powiedział do mnie:

- Panie Milech, oni nas tu wykończą...

Zaproponował mi, żeby skontaktować się ze swoją żoną, żeby pojechała do śledczego Zielińskiego, który zajmował się naszą sprawą. Nadleśniczy zgodził się - przekazał, aby żona zawiozła śledczemu wódki. Poskutkowało. Za tydzień Zieliński wezwał mnie do biura i kazał opowiadać, jak to było. Powiedziałem, że do żadnych organizacji nie należę, a broń, która miałem, dawano wszystkim leśnikom. Natomiast automat MP znalazłem w stodole w plewach. Powiedziałem też, że automat zgłosiłem komendantowi MO - Łące - bo chciałem się z nim zamienić na broń myśliwską. Zieliński miał w biurku litr wódki i co chwilę popijał pytając mnie, czy wiem, od kogo ta miodówka.

Potem powiedział mi, że "starego wywozimy w sobotę wieczorem, a ciebie w następną sobotę". Po chwili dodał jeszcze:

- Stary ma tyle wódki, że możemy tam pić przez dobrych parę dni.

Pomyślałem, że moja rada poskutkowała. W ciągu następnych dni po kolei nas wypuszczano przykazując na odchodnym, żeby "ani

pary z gęby, bo inaczej kula w łeb". Po paru miesiącach Zielińskiego przeniesiono do powiatu Bytów. Tam było podobnie jak u nas - miejscowi leśnicy wpadli, a przekupny Zieliński za wypuszczanie aresztowanych podpadł u swoich UB-owców. Zamknęli go, ale dzięki wstawiennictwu swego kolegi z UB w Szczecinie - wypuszczono go i posłano na urlop - rzekomo był "przeciążony pracą". Kiedy opowiedział prawdę koledze w Szczecinie, ten nakazał mu napisać podanie o zwolnienie, bo w przeciwnym wypadku Zieliński marnie by skończył. Wiem o tym wszystkim, gdyż Zieliński przyjechał później do mnie do leśniczówki i przy wódce przez całą noc mi o tym opowiadał.

Po paru latach przenieśliśmy się w różne regiony kraju. Nadleśniczy Rytter ze swoją załogą pojechał do województwa krakowskiego, a ja po skończeniu półrocznego kursu - już jako leśniczy - przenieśliśmy się do nadleśnictwa Żydowo koło Miastka. Tam też ukończyłem technikum leśnicze w Warcinie. Potem wstąpiłem do PZPR, dzięki czemu nie musiałem już tak bardzo obawiać się śledzenia przez UB.

Siedziba A.K. mieściła się w Miastku, gdzie był nadleśniczy (i były partyzant) Stanisław Kinelski oraz Wojciech Warsiński ps. "Jeleń". Głównodowodzącym był prezes MHD w Miastku - Łosiński.

W 1959 roku udałem się do Zarządu Lasów Państwowych w Szczecinku z prośbą o przeniesienie mnie do Zarządu Lasów Państwowych w Gdańsku. Początkowo nie chcieli mnie puścić, ale swoją prośbę motywowałem tym, że moja matka jest już stara i schorowana po obozowych przejściach, a brat pozostający na gospodarstwie zmarł zostawiając czworo dzieci. Przedtem omówiłem moje przeniesienie z nadleśniczym Wysokińskim i przyznano mi etat w lasach państwowych. Wówczas to dyr Kaczmarek zgodził się na służbowe przeniesienie mnie do Lipusza, tak że wróciłem na swoją ojcowiznę.

Co do organizacji, w której w czasie wojny byliśmy zaprzysiężeni... Stało się to w lutym-marcu 1943 r., a mnie - pod pseudonimem "Borowiec" - zaprzysiężył Naczelnny Komendant T.O.W. "Gryf Pomorski". Wtedy to - z rozkazu generała



Sikorskiego - wszystkie organizacje partyzanckie zostały podporządkowane Armii Krajowej. Mój pierwszy bunkier znajdował się w rejonie leśnictwa Borsztal pod Dywanem. Wybudowaliśmy go wspólnie z naszym komendantem oraz kolegą - Wirkusem. Przebywaliśmy tam od kwietnia 1943 r. do czerwca 1943 r.

Założycielami "Gryfa" - wówczas jeszcze "Gryfa Kaszubskiego", który działał w powiecie kartuzkim - byli: nauczyciel Józef Dambek ps. "Jur" oraz inny nauczyciel - Józef Kukliński ps. "Sęp". Nie byli to żołnierze, więc sprawy wojskowe znali tylko z teorii. Po pewnym czasie przyjechał do nich inny nauczyciel - z ukończonym gimnazjum, podczas gdy ci dwaj mieli tylko szkołę podstawową - major rezerwy Józef Gierszewski. Przyjechał z Chełmna, gdzie przebywał tuż przed wojną. Wcześniej uczył w szkołach w Przymuszewie i Bożyszkwach. Skontaktował się z Dambkiem i Kuklińskim. Po kilku naradach został powołany nowy zarząd, a Józef Gierszewski ps. "Ryś" został naczelnym komendantem. Wówczas też "Gryf Kaszubski" przemianowano na "Gryf Pomorski". Dambek i Kukliński musieli się podporządkować komendzie Gierszewskiego, co uraziło ich dowódcze ambicje. Aby wyrzucić go z dowódczego stanowiska, Dambek i Kukliński utworzyli 4-osobowy sąd polowy, w którego skład - oprócz nich - weszli jeszcze: pochodzący z Radunia Władysław Ostrowski oraz Alojzy Kiedrowicz ps. "Kruk". We czwórkę wydali na komendanta Gierszewskiego wyrok śmierci obarczając swego dowódcę następującymi zarzutami:

1. Zdrada Gostomka z naczelnymi władz "Gryfa" (w rzeczywistości zdrajcą był niejaki Gruchała z Sierakowic, gdyż u niego była poprzednia siedziba władz naczelnych "Gryfa"),
2. Sprzeniewierzenie pieniędzy "Gryfa",
3. Prywatne stosunki z niejaką Kurowską (obecnie Janiszewska).

Wyrok na "Rysiu" wykonali:

1. Alojzy Kiedrowicz ps. "Kruk" - odczytał wyrok śmierci na komendanta,
2. Ludwik Jażdżewski ps. "Mechlin",
3. Ambroży Kaszubowski ps. "Generał"
4. Józef Mrozik

5. Franciszek Pepliński (z Pymuszewa)

Stało się to w czerwcu, ale nie pamiętam dokładnej daty - jakoś tak przed Zielonymi Świątkami. Jeden z moich kolegów - jak zwykle chodził do młyna w Dywanie po chleb - do Antoniego Rolbieckiego. Komendant zasnął, a ja jakoś zasnąć nie mogłem - martwiłem się, że jest już dość późno, a mój kolega jeszcze z chlebem nie wraca. Po jakimś czasie mój kolega wrócił, ale zaraz wyszedł z bunkra, po czym wraz z nim wszedł do bunkra cały oddział egzekucyjny. Komendant chciał chwycić za broń, ale okazało się, że kolega przed chwilą wyciągnął mu ją spod poduszki. Egzekutorzy kazali nam opuścić bunkier. Już z zewnątrz usłyszeliśmy strzał i krzyk: "Ludzie, co wy robicie! Zabijacie polskich oficerów!" Po chwili padł drugi strzał - z dubeltówki.

Po tym wszystkim nie mogłem przyjść do siebie, tak było mi żal naszego komendanta. Mówiłem przy nich, że ten człowiek jest niewinny, na co Kiedrowicz odparł:

- Macie szczęście, żeśmy go wam sprzątnęli, bo byście niedługo dostali się na Gestapo.

Wierzyłem naszemu komendantowi i przekonywałem ich, że to nie jest zwykły zdrajca, lecz człowiek mądry i bohater. 1939 1945

Na to odpowiedzieli mi, że oni sami nie mieli prawa go zabijać, że to był rozkaz władz wyższych, które uznały go za zdrajcę.

Następnie kazali nam pójść do Jastrzębia, gdzie zabrano nas dwóch partyzantów i zaprowadzili nas do księdza Wołoszyka pod Gołyniem, gdzie znajdował się bunkier leśny. Oprócz księdza Wołoszyka była tam jego gospodyni, czterech z Kościerzyny i nas dwóch.

- Co wy wyrabiacie, zabijacie się sami! - powiedziałem księdzu. - Nie dość nas Niemcy pomordowali? Niewinnego i mądrego człowieka zabiliscie. Mam już tego wszystkiego dość. To kiedyś wszystko wyjdzie na jaw.

Dużo później okazało się, że wszyscy ci, którzy przyczynili się do śmierci Gierszewskiego - zginęli w czasie wojny albo zaraz po wojnie, tak że chyba sprawiedliwość ich dosięgła.

Dodać muszę, że już kiedy pełniłem służbę w nadleśnictwie,



jako leśniczy lasów niepaństwowych, w Jabuszkach zetknąłem się z Franciszkiem Borzyszkowskim, któremu od picuruna spaliła się stodoła. Wtedy to od nadleśniczego Wysokińskiego dostałem polecenie, aby wyznaczyć kilka sztuk sosen na odbudowę. Było to już pod wieczór, więc poprosił mnie na herbatę. Podczas rozmowy poruszyliśmy temat naszej organizacji wojskowej i Borzyszkowski opowiedział mi, że u niego często ukrywał się ksiądz Wrycza ps. "Rawicz" - przedwojenny pułkownik, który w T.O.W. został mianowany generałem. Borzyszkowski opowiadał, że u niego odbywały się spotkania m.in. z komendantem "Rysiem". Kiedy "Rysia" zastrzelono, to ksiądz Wrycza miał powiedzieć, że nie chce mieć styczności z mordercami swoich niewinnych braci.

Podczas naszej rozmowy Borzyszkowski pytał mnie też o tego sztandartenfirera, którego oddział mnie pojmał. Kiedy opowiedziałem mu o naszym pojmaniu koło Głuchego Boru, powiedział mi, że ów sztandartenfirer często przyjeżdżał do niego po ryby (miał samochód-amfibię, którym mógł pływać po jeziorze). Przyjeżdżał też do jego sąsiada - Niemca nazwiskiem Trap - który mieszkał w Sominach. Od niego Borzyszkowski dowiedział się, że sztandartenfirer (Nordman) został rozstrzelany na rynku w Słupsku za szpiegostwo. W okolicy od jakiegoś czasu pracowała stacja nadawcza, którą Niemcy w końcu namierzyli i podsłuchali. Stąd dowiedzieli się, że sztandartenfirer Nordman działał jako szpieg. Wtedy dopiero zrozumiałem, dlaczego ów SS-man był tak dla mnie życzliwy. Gdybym wtedy to wiedział, pewnie więcej mogłbym mu powiedzieć... Jak się okazało i wśród SS-manów trafić można było porządnych ludzi.

Wracając jeszcze do Dambka... W dniu 5 marca 1994 r. zostałem zaproszony przez Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie do Gołubia Kaszubskiego na uroczystości obchodów 50-tej rocznicy śmierci Józefa Dambka. Pojechałem z ciekawości - zobaczyć, jak tam będą go wysławiali. W kościele parafialnym w Gołubiu odbyła się uroczysta msza koncelebrowana. Później uczestniczyliśmy w uroczystości przy obelisku w miejscu śmierci Józefa Dambka, gdzie wystąpiła również kompania straży granicznej W.P. organizacji kombatanckiej. Kiedy rozpoczął się apel poległych,

wtedy nie mogli się nachwalić, jakimż to wielkim kapitanem i głównym bohaterem "Gryfa" był Józef Dambek. O tym zaś, że kazał zabić komendanta Józefa Gierszewskiego nie było ani słowa. Nie wspomniano również o innych oficerach zabitych przez Gestapo - np. Lesikowskim czy po wojnie kapitanie Alojzym Bruskim. O nich ani słowa. Dambka zabił gestapowiec nazwiskiem Kaszubowski (z Gdańska) - Polak, krewny komendanta pow. Wejherowo - Arenta. Gestapowiec ten miał jego kuzynkę za żonę i dzięki temu dobrze wiedział, gdzie przebywał Dambek. Arent mógłby to najlepiej opowiedzieć. - ale podczas tej uroczystości to chodził tylko ze smutną miną, jak gdyby nigdy nic... Gestapowiec wiedział prawie wszystko o organizacji tylko dlatego, że miał krewniaka - komendanta pow. Wejherowo.

Kiedy wkroczyło rosyjskie NKWD, Kaszubowskiego złapano, chcieli go zastrzelić za mordowanie Polaków i innych narodowości, ale Kaszubowski tłumaczył się, że on tylko likwidował tych, co byli przeciwni kominternowi. Wtedy przyjęto go do KGB i został wysłany do NRP jako szpieg, ale był pod ścisłą obserwacją. Kiedy Kaszubowski myślał, że jest już na wolności. Właśnie wtedy zaczął się rozbijać po hotelach z kobietami... wtedy KGB go zlikwidował.

Odwiedzikiem też inną uroczystość w gminie Stężyca - na 50-tą rocznicę śmierci 10 mieszkańców ziemi stężyckiej, w tym również członków T.O.W. "Gryf Pomorski", których rozstrzelano 24 maja 1944 r. w Szymbarku. To była również "zastuga" Kaszubowskiego. Arent - jako organizator - dyrygował całą uroczystością, dlatego nic nie wspomniano o prawdziwym winowajcy. Nawet ludzie z Wejherowa mówili, że dobrze znają "zastugi" Arenta, ale co można mu zrobić, skoro nie ma dowodów...



IV/1. Korespondencja Fundacji z  
Milochem Józefem; z rodziną, Józefa

1. Pismo Fundacji z 25.01.2000 - dot.  
prośba o muzet. relacji i zdjęcie,  
mpis k. 1 s. 1
2. Pismo Fundacji z 31.07.2003 - dot.  
potwierdzenie inf. o śmierci J. Miloche,  
mpis. k. 1 s. 2
3. Pismo Marty Miloche - inf. o  
śmierci Józefa - 11.08.2002, mpis.  
oryg. k. 1 s. 3
4. Pismo Fundacji z 29.08.2003  
do Marty Miloche, mpis kop. k. 1 s. 4



# FUNDACJA

## ARCHIWUM POMORSKIE ARMII KRAJOWEJ

BIURO FUNDACJI • 87-100 TORUŃ • UL. WIELKIE GARBARY 2 • TEL./FAX (0-56) 65-22-186  
KONTO: WIELKOPOLSKI BANK KREDYTOWY II ODDZIAŁ W TORUNIU NR 10901506-4675-128-00-0

Toruń 2000-01-25

1.dz.0197/POM/2000

Pan Józef Miloch

83-425 Dziemiany

Szanowny Panie!

Uprzejmie Pana informuję, iż w Archiwum Pomorskim Armii Krajowej w Toruniu w teczce opatrzonej sygnaturą M-989/1729 znajdują się dokumenty o Pana konspiracyjnej działalności.

Bylibyśmy wdzięczni za ich uzupełnienie posiadanymi dokumentami, ale przede wszystkim prosimy Pana o przysłanie zdjęcia z okresu okupacji albo z czasów późniejszych, ponieważ drukowane są "Słowniki biograficzne konspiracji pomorskiej 1939-1945" i w przyszłości ich autorzy będą chcieli wydrukować Pana biogram i wtedy dobrze byłoby, gdyby była fotografia.

Aby Pana poinformować o pracy Fundacji przesyłam w załączeniu informacje i jej działalności, a także ostatni numer Biuletynu. Będę zobowiązana, gdy odpisze Pan na list.

Łączę bardzo serdeczne pozdrowienia i życzenia zdrowia.

Z poważaniem

mgr Ewa Skerska  
dokumentalistka Fundacji Archiwum  
Pomorskie AK w Toruniu





2

# FUNDACJA

ARCHIWUM I MUZEUM POMORSKIE ARMII KRAJOWEJ  
ORAZ WOJSKOWEJ SŁUŻBY POLEK



BIURO FUNDACJI • 87-100 TORUN • UL. WIELKIE GARBARY 2 • TEL./FAX (0-56) 65-22-186  
http://www.um.torun.pl/AK, e-mail: AK@um.torun.pl, fapak@wp.pl  
KONTO: WIELKOPOLSKI BANK KREDYTOWY SA W TORUNIU • NR RACHUNKU 82 1090 1506 0000 0000 5002 0244

Toruń 31.07.2003 r.

*potwierdzenie inf. o śmierci  
Józefa Milocho*

*L. dz. 3630/Pom-410/03*

Państwo

Milochowie

83-425 Dziemiany

Szanowni Państwo!

Jestem dokumentalistką Fundacji Archiwum. Pan Józef Miloch odbierał "Biuletyn" wydawany przez Fundację, ale wrócił ostatni numer. Ten fakt zaniepokoił nas. Czy stało się coś złego? Z doświadczenia wiem, że nie zawsze można polegać na informacji poczty. Pan Józef ma złożoną w Archiwum relację opatrzoną sygnaturą M:989/1723Pom. i Jego losy bardzo nas interesują.

Będę bardzo zobowiązana za odpowiedź.

Łączę wyrazy szacunku i poważania

*Elżbieta Skerska*  
.....  
Elżbieta Skerska  
dokumentalistka

M: 989/1723 Pom.

Kalisz 20. 08. 2003  
3

Do Fundacji „Archiwum  
i Muzeum Pomorskie Armii  
Krajowej oraz wojskowej  
Służby Polek”

Upewniam informuję, że  
mój mąż Józef Mloch  
zmarł 11. 08. 2002 r.

Z poważaniem  
Marta Mloch

<b>FUNDACJA</b> "Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polek" w Toruniu
Wpłynęło dnia: 26.08.2003
L. dz. 3746 / Pom-610/03
Załączniki: .....
Referent: .....





# FUNDACJA

ARCHIWUM I MUZEUM POMORSKIE ARMII KRAJOWEJ  
ORAZ WOJSKOWEJ SŁUŻBY POLEK

BIURO FUNDACJI • 87-100 TORUN • UL. WIELKIE GARBARY 2 • TEL./FAX (0-56) 65-22-186  
http://www.um.torun.pl/AK, e-mail: AK@um.torun.pl, fapak@wp.pl  
KONTO: WIELKOPOLSKI BANK KREDYTOWY SA W TORUNIU • NR RACHUNKU 82 1090 1506 0000 0000 5002 0244

Toruń 29.08.2003 r.

*odp. L. 3746*  
*- prosba o wyped.*  
*dokumentów*  
*Józefa Milocha*  
*L. dz. 3772/Pan-410/03*

Pani

Marta Miloch

83-425 Dziemiany

Szanowna Pani !

Bardzo serdecznie dziękuję za list. Przykro mi, że wraca<sup>ły</sup> do bolesnych wspomnień, ale w imieniu Pani Profesor Elżbiety Zawackiej składam Pani i Rodzinie śp. Józefa Milocha wyrazy głębokiego współczucia.

Chciałabym napisać życiorys śp. Małżonka Pani do cz. 6 "Słownika biograficznego konspiracji pomorskiej 1939-1945". "Słownik" ma się ukazać w przyszłym roku. Jednak brak mi niektórych informacji z życia Zmarłego. W związku z tym bardzo gorąco proszę o odpowiedzi na następujące pytania:

1. gdzie spoczywa śp. Józef Miloch,
2. czy posiadał uprawnienia kombatanckie, odznaczenia i stopnie wojskowe (bardzo prosiłabym chociaż o kserokopie tych dokumentów oraz legitymacj).
3. czy po wojnie uzupełniał wykształcenie,
4. gdzie i na jakich pracował stanowiskach po wojnie oraz kiedy przeszedł na emeryturę, czy działał społecznie,
5. w którym roku zawarliście Państwo związek małżeński,

6. imię i panięskie nazwisko żony oraz imiona dzieci,

7. czy walczyła Pani w konspiracji,

Po otrzymaniu tych informacji będę mogła napisać biogram śp. Józefa. Gdyby miała Pani trudności z wykonaniem kserokopii dokumentów, to bardzo proszę o przesłanie oryginałów. Sama sporządzę w Archiwum kserokopie i prześlę je Pani z powrotem. Poza tym interesują nas metryki, świadectwa i wszystkie inne dokumenty, które pomogą w ustaleniu faktów. Bardzo proszę także o zdjęcie śp. Józefa, abym mogła je umieścić obok biogramu. Nie musi ono pochodzić z czasów okupacji.

Będę Pani bardzo wdzięczna za pomoc. Uważam, że umieszczenie biogramu śp. Józefa w "Słowniku" będzie ważne także dla wszystkich bliskich śp. Józefa.

Łączę wyrazy szacunku i poważania .....

*Elżbieta*  
Elżbieta Skerska  
redaktor "Słownika"



IV/2. Korespondencja z Franciszkiem  
Kozłowskim:

1. Pismo Fr. Kozłowskiego do Fundacji z 18.01.1999 - dot. relacji Józefa Kulocha, świadka zabójstwa Józefa Gierszewskiego ps. "Lys", relp. omg. k. 15.1-2



Franciszek  
Kozłowski  
z Jarocine  
(Insp. Chojnice)

Jarocin, dnia 18.01.99

Archiwum Fundacji AK  
w Toruniu

Wpłynęło dnia 20.01.99

Ldz. 156 / A Pom / 99

Pracując latem ubiegłego roku na ulicach,  
"pod gromą" na Pomoniu, odwiedziłem m.in. Józefa  
Mitocha, zamieszkałego w Kablicu Kozłubskim.

Od wspomnianego, stryżniatego sponzora  
początek sięgając na 17. stronicach relacji, zawierającej  
język wspomnienia z okresu okupacji.

We wspomnieniach tych, na str. 14-15 J. Mitoch -  
jako naoczny świadek, podaje imiona i nazwiska  
4 osób, które wydały wyrok śmierci na sp. Józefa  
Gierszewskiego ps. "Rys" oraz imiona i nazwiska  
(częściowo pseudonimy) 5 osób, które były wykonawcami  
wyroku śmierci - przez strzelanie sp. J. Gierszewskiego  
ps. "Rys".

Grasny nadmieniam, że Józef Mitoch, jako świadek  
zamieścił na jego "Rysie" wymienienia także, na str.  
58 Krzysztof Komorowski, w swym książce  
"Kompania Komorowskiego 1939-1947 kalendarz".  
Wskazywając 1.

-verte-

Dr Kłobucki



Adres:

2

Janek Miłoch  
Kochanowski (wybudowanie)  
83-425 Dziemiary



T:K: 989/1723 Pom.

Tiszew

Miloch Józef

Party informacyjne  
W 11



Tiszew 11  
Part. Chojnów

Miloch Józef

rodz. syn J. Szalewskiego por. 134

Symb. "P-52"

adres: Kosielnia Kas. ryb. lesie.

rel. M-14/623 Jan Szalewski

insp. Tczew Kto Pawał  
"Szyński 103"  
MILOCH JOSEF ps. "Utopiony"  
zob. Szujder J. "Jedyni-102", Arch. AK, B/206-89  
s. 63

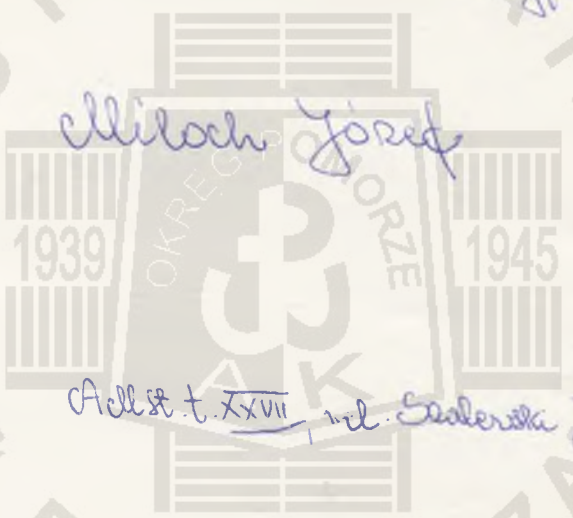
Żołnierz oddz. part. AK "Szyński-103", dawo-  
dźanego przez por. Jana Szulcowskiego ps.  
"Soból", "Szpak".

A Zek. 90



9amz. Jusp. Chojnice 3  
Tczew "Gryf Polnowski".

Chliloch Jozef



Adl. st. t. XXVII, ul. Szalerzka Jan

u. 2002 95

+

Józef Part. 4

MIŁOCH Józef ps. "Utopiony "

urodz.

bez stopnia

partyzant

Krzyżi Walecznych

Wykaz odznaczeń "Jary" - Michała



Miloch Józef

AT

Szybski

Toruń 5

KW

ps. „Borowicz”

1939



1945

zob. Sadowski Józef,  
Młwi numer 31806,  
K-wo 1989, s. 183, poz. 33.

9

Miloch Józef <sup>Toszew</sup> Chojnice 6  
TOW Gryf Poln.

Świadek wydania wyroku  
na Józefie Gierszewskim.

zob: T: H-749/426 Kostrowski  
Franciszek inop. Chojnice

Wz. T, 2000



Miloch Józef

a

Tiszew  
JOW Gr. P. 7

Zob. T: K: 384/384 Pom.

Kimelska Maria (Kosciuszka)

28. VII 103

Miloch Józef

Trew<sup>8</sup>

partyzant, sakonspirowany członek Gryfu Pomorskiego, dawał liczne dowody niezwykłego bohaterstwa, wzbudzając podziw nawet hitlerowców.

Kol. Spisiczus Łofu Kopec

s. IV/11

AW U/08



Miloch Józef  
ps. "Utoplony"

Toneu

post. PK  
"Sejszki"  
9

zob. list y. Szalewskiego do W. Szajdera

z 17.08.1965 : 24.08.1965.

U T.M. 47 / B56 Pom y. U. Szajdera,

t.4 par. 1,2

12.11.08

Miloch Józef

Kościszyn  
TOW  
"Wolność"  
10

Zaproszonym w Jastnebin  
16.03.1948 r. przez ks. Franciszka  
Wotoszykę do TOW "Wolność" (zebra-  
nie sejmicyjskie).

zob. T: K-937/1643 Lubechi L., 2. II,  
poza Dom.

488. III 101



Milochu Józef  
ps. "Mtopniomy"

Iszew  
"Szyński" M  
Joh. P.-A

Part. OP AK "Szyński"

zob. Sanejder G. W., Wspomnienia  
partyzanta AK..., s. 150.

W.X'11

Miloch Józef

ZESKANOWANE

